
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Marian Cybulski – *Życie „na wolności”*

W zasobach Instytutu Polskiego i Muzeum gen. W. Sikorskiego znajduje się bardzo bogaty zespół kwestionariuszy oraz relacji żołnierzy polskich, którzy po opuszczeniu Rosji zostali zakwalifikowani do lotnictwa, a także do wojsk pancernych i technicznych¹. Obawiając się obecności wśród nich osób sprzyjających ideologii komunistycznej, a nawet zwerbowanych przez NKWD, kazano wypełnić kwestionariusze (oświadczenia) i zachęcano do pisania relacji. Następnie rozmowy przeprowadzali oficerowie kontrwywiadu, ich uwagi widnieją też na zachowanych kwestionariuszach. Szczególną wagę przywiązywano do wskazania tych obywateli II RP, którzy w łagrach lub miejscach osiedlenia współpracowali z władzami sowieckimi, szkodzili rodakom, dali wciągnąć się do prowadzenia propagandy antypolskiej. Jednocześnie jednak chciano zebrać informacje o postawie obywateli ZSSR, stanie gospodarki sowieckiej (przemysł zbrojeniowy, komunikacja, rolnictwo), sytuacji w Armii Czerwonej. W ten sposób uzyskano bardzo ciekawe informacje, które opracowywano w postaci powielanych referatów materiałowych.

¹ IPiMS, sygnatura kolekcji: Lot. V. A. 97. Wprowadziłem drobne tylko poprawki stylistyczne, a niezbędne moim zdaniem uzupełnienia umieściłem w nawiasach kwadratowych.

Do interesujących tekstów zaliczyć należy zapisy Mariana Cybulskiego, urodzonego 4 lipca 1918 r. w pow. koneckim. Zdążył on tuż przed wybuchem wojny ukończyć technikum kolejowe. Został aresztowany 12 lutego 1940 r. w Świsłoczy, pow. wołkowyski i deportowany wraz z personelem leśnym oraz osadnikami wojskowymi. Od 1 marca 1940 r. do 27 sierpnia 1941 r. pracował w kopalni miedzi w Karabaszu, *oblast'* czelabińska. 1 listopada 1941 r. wstąpił w Buzułuku do wojska polskiego, w późniejszym czasie otrzymał przydział do VII eskadry. Cybulski przyznał, że miał też propozycję zostania kolaborantem w zamian za lepsze warunki pracy, zatrudnienie w biurze w charakterze kasjera.

W przytoczonej relacji jest mowa przede wszystkim o sytuacji i nastrojach ludności miejscowej, z którą stykali się nasi rodacy w miejscach przymusowego pobytu. Uważam, że błędem jest prezentowanie losów polskich sybiraków bez uwzględniania realiów charakterystycznych dla innych społeczności przebywających na terenach ZSSR. Ponadto trzeba pamiętać, że M. Cybulski podał fakty i oceny z osiedla robotniczego (przy kopalni), podczas gdy zdecydowana większość drukowanych w Polsce wspomnień dotyczy życia i pracy w kołchozach oraz na terenach leśnych.

Adam Dobroński

*

Ludność cywilna [w ZSSR] żyje tylko i wyłącznie dniem dzisiejszym. O jutrze nie myśli. Po prostu boi się jutra. A dlaczego? Może jutro chleba zabraknie? Co do chleba, jako najważniejszego artykułu spożywczego, przedstawia się tak. Są magazyny, do których przywożą chleb. Na 2-3 godziny ludność zbiera się przed drzwiami magazynu, początkowo jeden za drugim. Równocześnie jedna z kobiet, która trochę zasnęła, pisze numery chemicznym ołówkiem na rękę (oczywiście sobie rezerwuje nr 1). Magazyny chleba otwierają zazwyczaj o 6 godz. Gdy zbliża się ta godzina we wzorowym *ogonku* coś się burzy, faluje, jeden ciśnie na drugiego, aby poprzednik jego nie puścił przed siebie kogoś. Otwierają magazyn. Stróżka stoi w drzwiach i puszcza po kilka lub kilkanaście osób. Gdy pierwsza wychodzi, po prostu zarzucają ją pytaniami: czy dla mnie chleba wystarczy? To jest obawa, obawa przed głodnym dniem, bo zapasów żadnych nie ma, a może jutro chleba zabraknie. A pracować koniecznie musi, bo mniej zarobi, a po drugie, gdy się nie stawi do pracy – to *proguł*, czyli dany chlebobawca, raczej zwierzchnik podaje go do sądu. I na pierwszy raz sąd skazuje „winowajcę” na płacenie na skarb państwa 25% zarobku, za drugim razem aresztowany z miejsca (na drugiej rozprawie), osądzony zazwyczaj na 1 rok ciężkich robót (w tłumaczeniu polskim – obóz nauki pracy)².

Jednak czas mija. Zdenerwowanie wzrasta. Zaczyna się „ogonek” łamać. I naraz wszyscy prą się na drzwi. Niektórym udaje się wejść, przy tym wyzw-

² W wielu relacjach polskich sybiraków znajdujemy informacje o „*progułach*”, spóźnieniach lub samowolnej nieobecności w pracy, co traktowano w okresie wojny jako przejaw sabotażu. Eskalacja kar bywała różna, od upomnienia za pierwsze niewielkie spóźnienie, przez podnoszenie procentów (25, 50, 75) zabieranej płacy do skazania na pobyt w więzieniu, a najczęściej w łagrach (od kilku miesięcy do kilku lat). Będących już w obozach osadzano w „izolatorach”, obniżano im i tak głodowe racje żywnościowe. W kołchozach zdarzały się kary nietypowe, na przykład kierowanie do cięższej pracy.

ska, klątwy padają na każdego i na wszystko, najwięcej jednak zbiera *papa Stalin*. Kobiety – można powiedzieć – są po prostu celujące w „ruganiu” (klątwy), a o dzieciach to lepiej nie wspominać. Dowiadują się naraz, że chleba brakło. Aż huczy od klątw. Powoli rozchodzą się. Pozostają jedynie ci, którzy nie mają pracy, tych jest jednak znaczny procent, z robotników około 20% (to są kalecy inwalidzi), spekulanci – choć w rzeczywistości takich nie ma, jednak taki ma jakiego brata, lub ojca w *gorsowiecie* (zarząd miasta), dlatego nie pracuje. Ci wiedzą, że dziś będzie jakiś inny produkt sprzedawany. Chleb czarny kosztuje 1 kg – 1 rubel. Oczywiście chleb może kupić osoba, która posiada książkę produktową, która ważna jest na miesiąc i na nią można było [kupić] w 1940 roku – 1 kg, a już w 1941 r. – 800 g. Robotnik na rodzinę dostaje 400 g chleba na członka rodziny, natomiast gdy przestaje pracować (np. kaleką zostaje), to rodzinie prawo nie przysługuje, a sam dostaje tylko 400 g chleba³. Co się tyczy tych, co sprawują urzędy – w NKWD, *gorsowiet*, milicja, w ogóle komuniści na stanowiskach – ci dostają chleba więcej i im przynoszą do domu. *Czarnoroboczy* krzyczący głośno niech żyje Stalin, itp., czuje nienawiść i chciałby się rozpędzić, ale boi się. Kartofli może zasadzić na kawałku ziemi, za którą płaci co kwartał dość duże podatki. Ziemia bardzo dobra (czarnoziem), a sadzą wyłącznie kartofle, bo te się urodzą bardzo duże i dużo. One tylko opłacają się. Małe sowieckie wiadro kartofli kosztuje 10-14 rubli. Na masło, margarynę, olej, kiełbasę, cukier, inne luksusy są specjalne kartki, ale te produkty jakoś nie mogą dojechać na bazy. Będzie cukier jutro, pojutrze i ludność już siedzi pod magazynem, oczekują na ten *sachar*. Przychodzi się im i nawet 2 doby tak oczekiwać, wreszcie się rozchodzą błogosławiąc baćkę Stalina. Te produkty przychodzą dwa razy w miesiącu po 400 g na roboczego. Cierpliwość wyrobiona głodem.

Na polskim *posiołku* ceny za mieszkanie wyznaczało NKWD, a nie *gorsowiet*. Oczywiście Polakom opłatę zmniejszył, ale inteligentom zrobił dwa razy wyższą. Można mieć było własny dom, zazwyczaj tylko komunistom z krwi i kości. Jest sporo takich, co się podają otwarcie bezpartyjnymi, ci mogą otrzymać pomoc państwową na dom, lecz gdy wybudują, zaczynają ich [władze] cisnąć podatkami [...]. Zmuszało to właścicieli najpierw do sprzedawania elementów wyposażenia a nierzadko oddania za długi całego domu. Podobnie działo się z trzymającymi krowę lub świnie, kury i konia, którego nie można było wykorzystać do zarobkowania.

Czasem kura nie znieśie w roku tyle jajek, ile wynosi podatek, wówczas gospodyni kupuje jajka i oddaje, a gdy tego nie uczeni, zabierają kurę (albo gospodarza do więzienia) [...]. Mieszkanie jedno od drugiego nie różnią się, a to ze względu na pluskwy. Wieczorem nie ma na ścianie 10x10 cm, aby nie było pluskwy. Z sufitu spadają prosto na oczy, twarz. Gdy się opiją krwi wówczas odchodzą. Są tak bezczelne, jak czerwoni przewodnicy. Gdy się ruszysz, a czuje, że ciało jest blisko, to nie ucieka. Dom uszczelnia się pakułami, a nie ma kołchozu bez pluskiew, więc też twierdzić można, że nie ma domu bez pluskwy. Dom nowy jeszcze nie wykończony, a już widzimy pluskwy *kląpy*. Na polskim

³ Zarówno ceny oficjalne, jak przydziały kartkowe ulegały zmianom, rozdźwięk powiększył się najpierw po wybuchu wojny z Finlandią, a następnie po agresji Niemiec (wzrost cen od 25 do 50%). Jeszcze szybciej podnoszono ceny na czarnym rynku.

posiołku nie można było po prostu wytrzymać, bo tak się robiło, że spało się na sznurkach – w powietrzu. Mimo to, tak samo piły krew, jak ich właściciele, nawet mniej. Drzewa nie ma. Karczkuje się pniaki nosząc na sobie z odległego lasu o 4 km.

Ubrania b. drogie i materiał – papier, pokrzywy itp. Koszt ubrania najmniej 280 rb. Zazwyczaj szyto *kufajki* watowe, spodnie z naszej podszewki ubraniowej, ale o gatunku nie mówmy, jak i o kolorze. Po prostu z czego się dało. Nowa kufajka [kosztuje] 100 rubli. Zaleta ich – ciepłe, lecz nie na wiatr. Ubrania były w magazynach, lecz kto kupi, gdy taka cena – jedynie jakiś naczelnik, lub *stachanowiec*. Zarobek kobiety na powierzchni 1-4 ruble [dziennie], a nawet czasem wynosił i kilkadziesiąt kopiejek, to zależy od *dziesiątnika*⁴. Gdy dana osoba podoba się. Były przypadki, że Polka zarobiła na miesiąc 48 rubli. Najwięcej 300. Sowieckie kobiety zarabiały 220 rubli, to już nie najgorzej. *Stachanowcy* zarabiają około tysiąca, a nawet 5-10 tys. rb. *Stachanowcy* są *robieni sztucznie*, nie są to rekordziści lub nadludzie, a to człowiek jak każdy inny, nawet czasami chodzący trup. Dają mu kilka norm wyrobionych, aby u innych podnieść chęć do pracy, aby było współzawodnictwo.

Pięć, później sześć dni roboczych, a siódmy *wychodnyj*, tj. odpoczynek – tak mówił regulamin. W rzeczywistości, gdy była praca, *dziesiątnik* zmieniał dzień wolny na roboczy i za to pobierał zarobek tego dnia o 50% wyższy. Nie mają pojęcia co to jest racjonalna organizacja pracy, nie mają sprytu. Jak w domach jest jako taka czystość, to poza domem tam, gdzie jest nie jego „własność”, to lubi, aby był brud, nieporządek. Wykonuje jedną pracę kilka razy, stara się aby zrobić jak najmniej, po prostu nic nie robi, ale w ten sposób, aby jego zwierzchnik myślał, że on pracuje jednak dobrze. Przy tych urządzeniach prymitywnych i starych (bo z lat 1935-38) wydajność pracy sięgała do 55% swych możliwości (mówię tu o kopalniach). Nie [było] żadnych wynalazków. Niedokładność w pracy. Zreperować tak, aby trzymało się na mojej zmianie. Co do komunikacji kolejowej brak zmysłu organizacji. Wielki brud (stacja to obora), nie ma klozetów (załatwiano się między wagonami). Tego nikt nie sprząta i to jest nawet na takich stacjach, jak: Czelabińsk, Ufa, Tuła, itd.

Stosunek ludności do władz wrogi, jednak patrzyła [ona] w tę stronę z bojaźnią. Noc dla ludności była najgorsza. Podczas nocy aresztowano ludzi, bez sądu, bez jakichkolwiek wyjaśnień. Osoba taka dla rodziny stracona, bo już nigdy nie wraca. Najgorzej – rodzina nie wie, gdzie on przebywa, czy w ogóle żyje. To najbardziej przygnębiało ludność. Wypadki często. Zarządzenia władz naród nie krytykował, bo taka [możliwość] nie istnieje. Za krytykę – sąd – kontrrewolucjonista – koniec z „wolnością”. Pomiędzy sobą w bardzo znajomym kółku tylko kłęli, ale tak, jak inny naród nie potrafi. Rosjanin na rząd i Stalina, itp. może rzucać klątwy całymi godzinami i to zawsze jakaś inna klątwa. W tym kierunku musimy im oddać palmę pierwszeństwa. Wypadki jakiejś katastrofy (spowodowanej przez czas i stare urządzenia) pociągały aresztowania naczelników, robotników oskarżonych o sabotaż. W najlepszym razie [zarządzano] pokrycie kosztu strat lub usunięcie ze stanowiska, zazwyczaj [taki los

⁴ Dziesiątnik wyznaczony z *zakluczonych* przydziałał pracę i wyliczał procent wykonanej normy.

padał] na *czarnoroboczego*. Kwestia szczęścia i przynależność do partii umożliwiały człowiekowi zupełnie ciemnemu umysłowo, aby został naczelnikiem, *dziesiątnikiem*, nawet kierownikiem kopalni. Nieraz utrzymywał się na tym stanowisku kilka miesięcy. To jest b. długo. Brak ludzi fachowców na odpowiednie stanowiska. Inżynier za katastrofę jest robotnikiem. Ludność narzeka przede wszystkim na małe zarobki, duże normy, brak artykułów pierwszej potrzeby (poza wódką), podatki.

Biurokracja straszna – więcej urzędników o 50% niż tego warunki wymagają. Dlaczego? Dlatego, aby robotnik nie miał możliwości pozostawiania bez opieki, aby móc go lepiej obserwować, napędzać do roboty, itd. Donosicielstwo po prostu we krwi, a to spowodowała obawa przed więzieniem, lepiej kogoś wkopać, a samemu być na wierzchu. Urzędnicy wyłącznie komuniści, względnie komsomolcy, na mniej ważnych – bezpartyjni, na tych zwraca się szczególną uwagę i ci nie zajdą wysoko na szczeblach administracji. I tam dominują na równi z Rosjanami Żydzi. Żydzi pracują jak zwykle to bywa dla siebie. Ludność zaczyna ich nienawidzić, mówią – wyrzniemy, gdy przyjdzie czas komunistów i *jewrejów*⁵.

Podatki za wysokie w stosunku do płac. Robotnik oddaje 33% zarobku na podatki, poza *progulami*, a te swoją drogą 25% zarobku. Sądownictwo obstarwane niefachowcami. Sędzia bywa czytany, trochę znający prawo sowieckie, które jest bardzo ciekawe dla świata w swym zastosowaniu. Za opicie się na pracy – *progul* i 25% zarobku. To znaczy, że na ręce po *progule* pobiera tylko 45% zarobku, a po drugim *progule* rok lub więcej więzienia. Za bójkę rok, za chęć kradzieży rok, za kradzież pospolitą (np. ukradł kawałek deski, 2 gwoździe, kawałek chleba) od 1 do 5 lat. Opieka na robotnikami na pierwszy rzut oka pieczołowita, lecz po bliższym przypatrzeniu się jest to tylko zamydlenie oczu. Doktorzy młodzi, raczej doktorki – 17,18 lat. Co ona może umieć, jaka praktyka u niej. To już ludność zaczyna zauważać. Przede wszystkim brak lekarstw (jodyna, bandaże), przyrządów, instrumentów precyzyjnych. Chorego zabierają do szpitala, ale lepiej nosić [tam] swoje jedzenie, gdy chory może jeść, bo w przeciwnym wypadku szpital może okazać się raczej szkodliwym. To jednak w zależności, kim jest pacjent.

Po większych skupiskach ludzi są bazy, które rozdzielają artykuły do magazynów. W zależności kto w nich kupuje, np.: robotnicy, NKWD, milicja, itp. też są odpowiednie gatunki towaru. Wolnego handlu nie ma, jest spekulacja. W magazynach na wystawach wszystko jest, lecz z gipsu i to dość dobrze wykonane. Zająć do magazynu, jedynie gdzieś na jednej półce jest kilkadziesiąt paczek kawy. Stan dróg opłakany, mosty prymitywne. Komunikacja ciężka i powolna. Tabor stary, słaba konserwacja, Brak smarów – ograniczenia – minimalny [przydział], niewystarczające ilości.

Do szkoły niższej (nasze 7 oddziałów) powinni uczęszczać wszystkie dzieci, jednak warunki rodzinne (np. matka pracuje) nie pozwalają na to (dość dużo wypadków). Poziom nauki niski. Nasze dzieci musiały uczęszczać do szkół, bo pod groźbą pozbawienia pracy ojca lub matki. Jednak nie znając do-

⁵ Na taki stosunek znaczny wpływ miało powszechne mniemanie, że Żydzi chętnie współpracowali z NKWD.

brze języka rosyjskiego okazały się bardzo zdolne i już na półroczu prawie że wszystkie były pierwszymi w swoich klasach, za to dawali nawet odznaczenia: *krasne znamię* – czerwona chorągiewka, różne podarunki. Nie wolno było nauczać w domu po polsku. Wpajanie komunizmu, propaganda komunistyczna wprowadzana już w I oddziale⁶. Zakres mniej więcej ten sam w szkole powszechnej, jednak później nie był za mądry. Nauczycielstwo niedobre. Nie stara się zupełnie urozmaić lekcje, jedynie jak wszyscy – zrobić swoje, ale jak, to nie moja rzecz. Tak mówią.

Zebrania odbywają się b. często, prawie co drugi dzień. Po wybuchu wojny po prostu codziennie ktoś zwoływał mitingi jak nie przed, to po pracy. Oczywiście różne sprawozdania naciągnięte, jaskrawe, nawoływania do wyrobienia normy, itp. Pomocy wzajemnej nie widziałem – zdarza się, lecz w najbliższym gronie, żadnego współczucia bliźniemu, sam dla siebie. Młodzież jest wychowywana w domu zabaw. Tańce co drugi dzień. Krzywo władze patrzają się jak tam dziewczyna, czy chłopiec nie uczęszcza. Mitingi – zebrania, odczyty o organizacji pracy przez jakiegoś wielkiego naczelnika (np. kopalni, którym jest zwykły robociarz); co może powiedzieć nowego – nic. Wódka jednak to zawsze jest dostępną. Młodzież, zarówno dziewczęta, jak i chłopcy od 10 lat zaczynają na dobre [rządzić], o ile mają parę rubli. Przy tym w parze rozpusta – ale jaka – komunistyczna. Dziewczyny oddają się po prostu za kawałek chleba, czy kwaterkę wódki. Choroby weneryczne jednak jak na te stosunki mało rozwinięte. Nie ma żadnych środków ochronnych, zapobiegawczych, prezerwatywy sprowadzane od czasu do czasu (po kilka sztuk) leżą, bo ich nie używają. Wypadki zajścia w ciążę dziewczyn 14–15 lat, nie mówiąc o starszych, które nie mają mężów spotyka się bardzo dużo. Mężczyzn po wybuchu wojny mało, więc kobiety po prostu szaleją, dlatego zdarzają się wypadki niespotykane nigdzie. Starsi robią to samo, co młodzież, bo wszystkiemu nadają ton najmłodszy. Syn bije matkę i nie myśli nad tym, że popełnił coś strasznego, karygodnego. Nie ma odrobiny uczuć rodzinnych, dzieci do rodziców itp. Młodzież wychowywana w pogoni za chlebem nie zwraca uwagi na siebie. Aby dziś.

Gdy Niemcy zawarli pakt z Rosją optymiści nie wierzyli w jego trwałość i ci, którzy pamiętają tamtą wojnę prorokowali jego koniec w 1942 r. Sprawdziło się. Mnie dziwiło, stąd dość dokładne przypuszczenie: ogródkowo opowiadali, że tak mówili starzy ludzie, karty pokazywały itp. Prawdy dowiedzieć się nie mogłem. Gdy wybuchła wojna, większość narodu okazała skryte, wewnętrzne zadowolenie. Po cichu, ukradkiem mówili: No, nareszcie skończą się *tiurmy* [więzienia], głód, bo jednak spora ilość, około 40% ludności, prorokuje koniec Stalinowi⁷. Są tacy (około 20%), co nie myślą zupełnie o polityce, po prostu boją się myśleć o czymś podobnym. Reszta to *komuniści dla chleba*, z tych trzeba wyłączyć 10% prawdziwych komunistów. Od tej części *komunistów dla chleba* można było też usłyszeć: Będzie to samo co w 1918 r. – krew będzie płynąć strumieniami, ale nie *pomieszczyków* [obszarników], lecz teraz to tych katów, oprawców – komunistów. Oczywiście można usłyszeć od Rosjanina, którego się zna i wie, że ja tak samo myślę, jak i on – nie ma obawy *wsyppy*.

⁶ Wyjątkowo autor nie wspominał o nasilonej ateizacji.

⁷ Zdziwiająco wielu autorów relacji twierdziło, że ludność po wybuchu wojny czekała z niecierpliwością na „wyzwolenie” z reżimu przez wojska niemieckie.

Natomiast w gromadach mówią, że zwycięstwo będzie za nami, itp. Dodają sobie otuchy, okłamują się wzajemnie.

Propaganda sowiecka stara się odciągnąć naród od myśli o polityce, zaprzęga go do pracy (do wojny w przemyśle 8 godz. [dziennie], po wybuchu [wojny] 10,5 godz.), zawraca mu głowę zebraniami, odczytami. A najlepszą bronią są *ogonki* przed sklepami, które jednak zajmują u przeciętnego obywatela lwią część wolnego czasu, a w *ogonku* nie rozmawiają o krytyce, nie okazują niezadowolenia, bo jest pełno donosicieli, a byle słowo okazujące niezadowolenie [powoduje] z miejsca aresztowanie i – znikł na zawsze. Można zauważyć jednak pewne chęci sabotażu, jednak nie mają odwagi [go] wykonać, jedynie niechętnie, niedokładnie wykonują pracę. Ludność wzdycha do *starych carskich czasów*. Rząd obecny to sami *krwiopijcy ludu*. Jednak ta garstka ludzi – rząd i komuniści – mają za sobą olbrzymią przewagę, a mianowicie broń, żywność, opiekują się wielkimi składami (żaden artykuł nie idzie do konsumpcji, gdy nie poleżał pewien czas na bazach), sieją popłoch wśród narodu. Oczywiście pozbywają się jednostek (rozstrzeliwują, zsyłają do ciężkich obozów prac, skąd zazwyczaj nie wracają), które by w jakichkolwiek sposób mógłby [im zagrozić] swymi umiejętnościami. Po obserwacji zauważa się, że kierowników w szarym tłumie niezadowolonych nie ma. Więc jak oni mogą zacząć wojnę z rządem? Kto ich poprowadzi? Białogwardzistów jest mało, choć nie przyznają się oni sami. Jedynie przyjacielowi powie, ale i to nie każdemu. Rosjanie mają nadzieję, że armia chwyci za broń i zrzuci to *czzerwone jarzmo*. Jak słyszałem, armia też nawet jeszcze lepiej obstawiona różnymi *politrukami*. Tak [można więc] sądzić z tego wszystko, że raczej ten rząd utrzyma się do czasu całkowitej klęski. Naród przy pomocy obcych (dajmy na to desantów), po pewnym przygotowaniu propagandowym, byłby zdolny raczej chwycić za bron.

Część ludności nie okazuje zadowolenia z postępów armii sowieckiej, jak odwrotnie [było wcześniej, gdy zbliżali się Niemcy]. Jednak głęboko stłumiony patriotyzm ma przewagę nad niezadowoleniem. I dlatego nie okazują go ci, co twierdzą, że wojnę wygrają. Ci co twierdzą, że wojnę wygrają to mówią, że ich cały świat.

Wątki polskie

Władze były wrogo nastawione do Polaków, nawet jeszcze po ogłoszeniu porozumienia Polski z Rosją.⁸ Starali się wykorzenić to, co było polskie i namawiali na mezalians, tak dziewczyny, jak i chłopaków polskich. Jeden skusił się – Jan Kowalec z Rosjanką. Jako zesłańców przywieźli nas w wagonach towarowych do Karabasza, obł. Czelabińsk. Na drugi dzień wepchnięto mężczyzn i kobiety do kopalni miedzi. Do 28 sierpnia 42 r. pracowałem jako *czarnoroboczy* w tej samej brygadzie. Bezpodstawnie zostałem osądzony i zasądzony o *proguł* – [odjęto] 25% zarobku przez 5 miesięcy. Zarobek mój wynosił od 120 do 280 rubli miesięcznie. Praca na głębokości 500 m. 4 razy zemdlałem zatruty gazami. Mieszkałem ze szwagrem (żona, 2 dzieci) w izdebce 2,5 x 3,5. Proszę

⁸ Dotyczy to porozumienia Sikorski-Majski, na mocy którego organizowana była w ZSSR armia polska oraz wydano stosowne dekrety o amnestii odnoszące się do ludności deportowanej w latach 1940-1941.

sobie wyobrazić tu gotować pożywienie, na które było chleb i kartofle na wodzie. Bywało i tak, że na 10,5 godz. szło się o kawałku chleba 200 g., nic nie biorąc ze sobą. Po pracy nie było nawet sił na przejście 2 km do domu. Dość często przychodziło się wychodzić z kopalni piechotą w okropnych warunkach 500 m. A były miejsca (kopalnie, gdzie robotnicy do pracy schodzili piechotą do 400 m i to codziennie). Tam też pracowali Polacy, kobiety nawet. Nogi po pewnym czasie odmawiały posłuszeństwa i władze zmuszane były takie osoby wyciągać z kopalni do pracy na powierzchni ziemi. Na *posiołku* (kolonia Polaków) był sanitariusz. Felczerka, która mogła zwalniać z pracy w razie choroby. Przez Czerwony Krzyż można było odnaleźć rodzinę i z nią korespondować. Otrzymałem 2 listy od rodziców. Z *posiołka* wywieźli siostrę brata p. gen. [Leona] Berbeckiego i p. Berbecką, jej siostrę, obie ponad 80 lat (mimo starań Polaków na *posiołku*), umyślowo chorego Wiktorowicza i staruszka (nazwiska nie mogę sobie przypomnieć). Umarło najwięcej dzieci z braku pożywienia odpowiedniego i od zatrutego powietrza dymem siarkowym. Był wypadek, że wymarło 6 dzieci i matka. Pomocy okazać nikt nie mógł, bo nie był w stanie dostać to, co by uratowało te maleństwa. Józefa Kuczyńska, Czesława Izyłowska, Wacław Woźniakowski, Cybulski Marian. Ze starszych: Woźniakowscy Mieczysławowie, por. Kalitowski. Podkreśleni (Cybulski, Woźniakowscy, Kalitowski) zasługują na wyróżnienie. Na rzecz NKWD pracował W. Stanisław i Białorusin D. Jan i jego brat starszy (zapomniałem imienia)⁹.

Wywieziona ludność przebywa (kilkanaście rodzin) w Karabaszu. Bliższych danych o nich nie mam, bo stamtąd wyjechałem pierwszy. O pozostałych wiem z opowiadań. Jak mi wiadomo, zostali usunięci z rządowych budynków, o pracę trudno, opieki ze strony Sowietów żadnej. Dlaczego nie wyjechali – to same kobiety bały się po prostu głodu w czasie podróży. Ludność rosyjska zazdrości im, bo są wolni, ale odnoszą się przychylnie. Co do opieki rządu nad nimi – jest przyrzeczona. Ale czy otrzymali ją, tego nie wiem¹⁰.

Transport ludzki nie różni się nic od transportu bydła. W małym wagonie po 45 osób: dzieci, dorosłych i starców. Nie dają wody, nie ma opieki lekarskiej. Nie dają węgla – zimno.

*

Wojciech Narębski – *Moja droga od wileńskich Łukiszek przez Gorki, Buzutuk do 2 Korpusu*

Zostałem aresztowany w Wilnie 18 kwietnia 1941 r. po przeprowadzeniu rewizji w mieszkaniu w domu rodzinnym przy Zaułku Montwiłłowskim 4

⁹ Nie podałem pełnego brzmienia nazwisk, bo trudno po tylu latach zweryfikować zasadność oskarżenia. Trzeba byłoby przynajmniej zestawić dane z wszystkich relacji i wybrać powtarzające się nazwiska. Przeciętnie co drugi – trzeci składający oświadczenia podawał po kilka nazwisk obywateli II RP współpracujących z NKWD, szkalujących Polskę. Były to osoby różnych narodowości.

¹⁰ W przebadanych relacjach jest dużo negatywnych opinii o systemie opieki ze strony Ambasady Polskiej w Kujbyszewie i jej delegatur. Podane zostały konkretne przypadki rozkradania darów (sprzedawano je potem na tzw. czarnym rynku), lekceważenia potrzeb osób najbardziej potrzebujących.

i umieszczony początkowo w pojedynczej celi w więzieniu na Łukiszkach. Była to większa wpadka, ponieważ tego samego dnia z moich znajomych członków konspiracyjnego Związku Wolnych Polaków aresztowano również Jerzego Meyera, Jerzego Wrońskiego i Marię Szlachtowską, z którymi spotkałem się na korytarzu podczas prowadzenia na śledztwo lub na konfrontacji. Dodam, że zadaniem naszym, jako najmłodszych członków Związku, było powielanie i kolportowanie podziemnego pisma „Za naszą i waszą wolność”, przy czym powielacz do jego drukowania był przechowywany w schronie lotniczym na terenie naszego ogrodu. Trzeba było przy tym bardzo uważać, ponieważ do pokoju, którego okna wychodziły na ogród, został mej rodzinie przymusowo dokwaterowany pracownik NKWD M. I. Pyrkow z rodziną.

Po około trzech tygodniach przeniesiono mnie do większej celi, gdzie dokwaterowano jeszcze jedną osobę (chłopa z okolic Niemenczyna) a następnie, już w czerwcu, sowieckiego oficera M. I. Zwieriewa. Okazało się, iż spóźnił się on nieco z przepustki, a w międzyczasie w Czerwonej Armii wprowadzono już stan wojenny. Po dwóch dniach spowodowanego przygnębieniem milczenia, nasz sowiecki towarzysz niedoli otworzył się w pełni, wyrzekając w sposób niewybredny na ustrój państwa, w którym przypadło mu żyć i służyć w armii. Obawiając się prowokacji nie reagowaliśmy na te jego wypowiedzi. Okazało się później, że Misza był całkiem lojalnym i porządnym współwięźniem, powtarzając wielokrotnie znane sowieckie porzekadło: „Kto w turmie nie siedział to nie człowiek!”. Tak to dzięki władzy radzieckiej my, młodzi konspiracyjacy Polacy, osiągnęliśmy pełnię człowieczeństwa.

22 czerwca załadowano nas do więźniarek i przewieziono przez bombardowane przez lotnictwo niemieckie Wilno na dworzec kolejowy, gdzie nasi kolejarze zdołali odczepić jeszcze trzy ostatnie wagony. W związku z tym kilku moich kolegów i koleżanek pozostało w Wilnie i dalej uczestniczyło w działalności konspiracyjnej. Na dworcu załadowano nas do złożonego z wagonów towarowych pociągu i 11 dni wieziono (na początku pod bombami niemieckimi), niemal bez zaopatrzenia w jedzenie, do więzienia w m[ieście]. Gorkij. Tam umieszczono nas po kilkadziesiąt osób w dużych celach. Ze znajomych w mojej celi był również jezuita o. dr Kazimierz Kucharski, jeden z przywódców wileńskiego podziemia niepodległościowego. Początkowo warunki były bardzo ciężkie. Wskutek ciasnoty w nocy każdy z nas musiał spać na cementowej podłodze na boku i na komendę przewracać się na drugi bok. Jedzenie było kiepskie i w minimalnej ilości, rozdawane na całą grupę. Po zawarciu paktu Sikorski–Majski w celach z polskimi więźniami wzniesiono czteropiętrowe prycze i każdy miał osobne miejsce do spania. Ponieważ w naszej celi było kilku znanych naukowców i lekarzy, na naszą prośbę wygłaszali oni różne prelekcje min. na temat właściwego odżywiania się po zwolnieniu z więzienia, co było, jak się okazało, sprawą ogromnie ważną. Lekceważenie tego problemu przez wielu wycieńczonych niedostatecznym i niewłaściwym odżywianiem więźniów i zesłańców kończyło się często tragicznie.

Zwalniano nas kolejno, po kilka osób dziennie. Każdy podczas pożegnalnej uprzejmej rozmowy ze śledczym, który oświadczał, że „my tiepiej druzija i budiem wmiestie wojewat’ s niemiecko-faszistskimi zachwatznikami”, otrzymywał dokument, na którym było napisane, że jest „amnistiirowan kak polskij grahdanin i połuczjet (w moim przypadku) miesto prożiwaniija sieło Darowskoje Kirowskoj obłasti i możet obraszczatsa po tieritorii sowieckowo sojuza

z iskluczeniem gorodow 1-ogo klasa i prigranicznoj zony” oraz bilet kolejowy do Kirowa i pewną sumę pieniędzy.

W sowchozie Darowskoje była już mała grupa naszych podoficerów bodaj z Nowej Wilejki, którzy namówili mnie abym wraz z nimi ochotniczo jako 16-latek zgłosił się do wojska, bo w sowchozie panował wręcz głód. Udałem się do Wojenkomatu i dostałem (nie bez oporu) skierowanie do tworzącej się w rejonie orenburskim (wówczas czałowski) Armii Polskiej w ZSRR wraz z biletem kolejowym i niewielką sumą pieniędzy. Po niezwykle uciążliwej podróży, podczas której zachorowałem na ciężką biegunkę dotarłem wreszcie do Buzułuku i po przyjęciu mnie przez komisję 5 października 1941 r. do naszego wojska, zostałem niebawem, skrajnie wycieńczony chorobą, skierowany do polskiego oddziału Szpitala Wojskowego w tym mieście, gdzie przebywałem niemal trzy miesiące. Z braku leków moją dolegliwość, zdiagnozowaną jako „żołodoczny awitaminoz”, leczono sokiem z marchwi. W tym bowiem czasie, gdy Niemcy byli już pod Moskwą, w Związku Radzieckim odczuwało się dotkliwe braki niemal wszystkiego, w tym i lekarstw. W głównej części buzułuckiego Szpitala Wojskowego leczeni byli również ranni krasnoarmiejcy, którzy często na nasze pytania „kac tam na frontie?” odpowiadali odwracając furazerki czerwoną gwiazdą do tyłu: „nasi idut wpieriod!”. Ordynatorką naszego oddziału była bardzo sympatyczna i troskliwa dr Łuczickaja, przyznająca się po cichu do polskiego pochodzenia. Warto dodać, że gdy rozmawiała z nami, bardzo często zagładała za drzwi czy ktoś jej nie podsłuchuje.

Po wypisaniu ze szpitala przydzielono mnie do kompanii wartowniczej w pobliskiej Kołtubiance, z którą w lutym 1942 r. zostałem przeniesiony do Uzbekistanu, gdzie nasz oddział wcielono do tworzącej się w Margielanie 9 Dywizji Piechoty. Jednostka ta, wraz z tworzącymi się równocześnie dywizjami 8 i 10, została ewakuowana pierwszym transportem pod koniec marca 1942 r. kolejną do Krasnowodzka a następnie przez Morze Kaspijskie do portu Pahlevi w Persji. Warunki na statku były okropne, ponieważ był on przeznaczony do przewozu towarów i nie był przystosowany do przewożenia zwłaszcza tak wielkiej ilości ludzi, z których wielu chorowało. Zwłaszcza pospolita była biegunka, a próby załatwienia się wobec braku odpowiedniej ilości sanitariatów do morza, trzymając się słabiutkimi rękami za poręczce, kończyły się często tragicznie. Tak to u progu wolności i w chwili opuszczania nieludzkiej ziemi wielu żołnierzy i towarzyszących im cywilów straciło życie, wpadając do morza. Jakikolwiek ratunek w tych warunkach był, niestety, niemożliwy.

W Pahlevi, po dokładnej kontroli lekarskiej, kąpieli w wojskowej łaźni brytyjskiej i umundurowaniu w nową bieliznę i battle-dresy, podjechała do naszego obozowiska hinduska kolumna transportowa. Było to nasze pierwsze spotkanie z oddziałem wielonarodowych alianckich sił zbrojnych na Środkowym Wschodzie, tworzących tzw. Middle East Forces. Wielką atrakcją było dla nas, osłabionych ciężkimi przeżyciami i warunkami bytowania w więzieniach, obozach i na zsyłce znakomite zaopatrzenie wojska w żywność, bogactwo owoców i świetny sprzęt wojskowy, którego, w przeciwieństwie do Związku Radzieckiego, nie brakowało. Nasze zaciekawienie wzbudzały turbany na głowach hinduskich żołnierzy – kierowców i ich specyficzne zasady utrzymywania higieny w gorącym i trudnym klimacie tego regionu Bliskiego Wschodu.

Po siedmiu dniach jazdy z przerwami na noclegi, trudną krętą drogą przez góry Persji, biblijną Mezopotamię i Pustynię Syryjską, nasza kolumna przekroczyła Jordan i znalazła się w Palestynie, serdecznie witana (jako pierwszy oddział polski przybyły z ZSRR) przez emigrantów żydowskich z Polski. Wreszcie na początku maja 1942 r. znaleźliśmy się w obozie wojskowym Quastina, gdzie zaczątki naszej 9 Dywizji weszły w skład powstałej w dniu Święta Narodowego 3 Maja z Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich (wstawionej zwycięskimi walkami w Libii pod Tobrukiem i Gazalą) 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Zostałem przydzielony do 4 batalionu 2 Brygady Strzelców Karpackich, a następnie skierowano mnie na szkołę podoficerską. Osłabienie półrocznym więzieniem i trzymiesięczną biegunką organizmu dało jednak znowu znać o sobie. Kolejny niemal półroczny pobyt w szpitalu, spowodowany wysiękowym zapaleniem płucnej, sprawił, że po zmianie mej kategorii zdrowia z A na C, zostałem skierowany na kurs kierowców z przydziałem do powstałej w lipcu 1942 r. w Palestynie 2 Kompanii Transportowej. Tam, w obozie w palestyńskiej Gederze spotkałem mego imiennika niedźwiedzia Wojtka. Wykupiony na początku kwietnia 1942 r. od perskiego chłopca w rejonie perskiego miasta Hamadan przez oficera konwojującego transport naszych rodzin z Pahlevi do obozu cywilnego pod Teheranem, przebywał tam pod opieką Ireny Bokiewicz niemal cztery miesiące. Gdy podrósł i zaczął zbyt psocić, za sprawą ówczesnego dowódcy powstałej później w Iraku 5 Kresowej Dywizji Piechoty, gen. Mieczysława Boruty Spiechowicza, został pod koniec sierpnia 1942 r. przywieziony do naszej kompanii, przemianowanej później na 22 Kompanię Zaopatrywania Artylerii. Wojtek stał się nie tylko niezmiernie popularną maskotą kompanii ale – trzymający pocisk artyleryjski – zasadniczym motywem jej odznaki, wymalowanej na samochodach oraz noszonej na beretach i kołnierzach mundurów.

Służyłem w tej jednostce niemal dwa lata na terenie Palestyny i Iraku, działając również z woli dowódcy mjr Antoniego Chełkowskiego w czołówce artystycznej, która przygotowywała i organizowała koncerty oryginalnych utworów własnych kompozytorów i poetów dla wielu jednostek 2 Korpusu. Przykładem mogą być słowa kilku z tych piosenek, które, podobnie jak ich melodie, pamiętam do dziś już zapewne tylko ja. Moim zdaniem wyrażają one trafnie w ujmujących, prostych słowach nasze ówczesne przeżycia jak również tęsknotę za krajem i bliskimi. Dlatego załączam je do tego artykułu, bo są one zupełnie nieznane a przedstawiają niewątpliwie znaczący dowód działalności kulturalnej mojej macierzystej kompanii, który nie powinien zostać zapomniany.

Kończącym akcentem mego żołnierskiego pobytu na Środkowym Wschodzie było uzyskanie na Kursach Maturalnych dla Żołnierzy APW przy Szkole Junaków w m[ieście] Barbara świadectwa ukończenia gimnazjum ogólnokształcącego, umożliwiające późniejsze ukończenie szkoły podchorążych. W marcu 1944 r. na pokładzie naszego pięknego statku MS „Batory” (co było dla nas wzruszającym przeżyciem) popłynęliśmy z Port Saidu do Taranto i niebawem dołączyliśmy do naszych jednostek, przygotowujących się do bitwy o Monte Cassino.

Mój udział jako żołnierza 22 Kompanii Zaopatrywania Artylerii w chwalebny szlak bojowy 2 Korpusu Polskiego od Monte Cassino przez walki nad Adriatykiem, zdobycie Ankony, włamanie się w linię Gotów, ciężkie boje w Apeninie Emiliańskim, po zatknięcie polskich sztandarów w Bolonii – to osobny temat, wykraczający poza ramy tego artykułu.

*

**Piosenki czołówki artystycznej
22 Kompanii Zaopatrywania Artylerii**

Słowa i muzyka : Stanisław Landau, Jan i Józef Weberowie.

Poza tym członkowie sekcji muzycznej i chóralnej : Bronisław Wąsowicz (trąbka), Filip Goldberg, S. Landau, J. & J. Weberowie, Wojciech Narębski, Stanisław Paździor (chór rewelersów, soliści)

List z kraju

To nie sen, to prawda, patrzcie list dostałem
Jakiś inny, niecodzienny, Krzyż Czerwony na nim lśni.
Ten z daleka, ten na który nie czekałem,
Trudno zgadnąć jakie wieści od mych bliskich przyniósł mi.
I o dziwo, że papierek ten niewinny,
Tyle wzruszeń , chwil radosnych naraz daje.

Jest w nim zapach naszej ziemi, łąk rodzinnych,
I jest serce , które kochać nie przestaje.
I w kilku słowach prostych wszystko powiedziane
Ukochany, wszyscy zdrowi i czekają
A między wierszami noce nieprzespane,
Przecinek znaczy, jaka grozę przeżywają.

Wandeczka duża bardzo pragnie iść do szkoły,
Znak zapytania..., bądź zdrow i wciąż wesóły.
I w kilku słowach prostych , łatwo to zrozumieć,
Że aby kochać trzeba umieć cierpieć też.
I w kilku słowach prostych prześlę im odpowiedź
Ukochani, już się wkrótce zobaczymy.

A między wierszami znajdą mą zapowiedź.
Że już idziemy, że o wolność wciąż walczymy.
Daleka droga naszych skrzydeł nie umęczy
I znów z potęgą wolności hymn zadźwięczy.
I w kilku słowach prostych Polska podziękuje
Swym wiernym synom za ofiarę, miłość, krew.

*

Auta

Na co auta są stworzone każdy z was zapewne wie
By powietrzem napędzone szosą przemykały się.
By kierowca w wolnych chwilach na klaksonie sobie grał
No, a gdyby nie te auta cóżby żandarm robić miał.
Bo auto, to jest auto, a samochód to jest wóz
Ten motor ma, ten biegi ma, a w środku bywa luz.
Tysiące śrub i rurek i cztery koła ma,

Dolina lub pagórek, jak chcesz tak szybko gna.
A szosa, tak jak szosa, kto zboczy wpada w rów.
Kierunek prosto nosa, gdy chcesz być bracie zdrów (bis)
Na co ludzie są stworzeni każdy z was zapewne wie.
By choć syci, najedzeni wspólnie pożerali się

Aby jeden człek z drugiego w wolnych chwilach sobie drwił.
No, ażeby nie kantami jakby człek inaczej żył.

*

Bo człowiek to jest człowiek, a samochód to jest wóz.
Ten maskę ma, ten głowę ma, a w środku bywa luz.
Tysiące śrub i rurek.... i czasem serce ma
Raz w dole, raz na górze, zależy jak się da.
A życie tak jak szosa, kto zboczy wpada w rów.
Kierunek prosto nosa ,gdy chcesz być bracie zdrów (bis)
Na co Niemcy są stworzeni każdy z Was zapewne wie.
By Hitlerem zarażeni z całym światem bili się.
Aby Hanse z biednych Włochów w wolnych chwilach mogli drwić.
No a gdyby nie ersatzem jakby szwaby mogły żyć.
Bo Anglik to jest Anglik, a Niemiec to jest szwab
Ten honor ma, ten słowo ma, a Niemiec łotr i drab.
Tysiące mów i paktów, Reichstagi, blagi, krach,

Mein Kampf i kupa aktów , przed RAF'em wielki strach.
A życie tak jak szosa, kto zboczy wpada w rów.
A Polak prosto nosa do domu wróci znów (bis).

*

Moskitiera

(powstała w Iraku)

U nas były i zima i lato, była wiosna i jesień złocista.
Była flora i fauna bogata, lecz nie było seniory La Memfisto.
Tu daleko, gdzie Wschód jest Środkowy pierwszy raz ją poznałem
w mym życiu.
Amor ukłuł mnie w mięsień sercowy, więc wciąż marzę i tęsknię
w ukryciu.

Moskitiera, siniora la Mosquita, to nie wydra,
nie pies, ni kobita.
Gdy się człowiek nią mocno otuli,
zaraz marzy i myśli najczulej.
Moskitiera dodaje otuchy,
nie dopuszcza skorpionów i muchy.
Serenadę jej gram, aj aj aj,
w jej ramionach być to istny raj.

Pewnej nocy, a było to we śnie moskitiera się do mnie tuliła.
Czy chce żoną mą zostać spytałem. W odpowiedzi wnet kosza dostałem.
Ona rzekła, że ma swe zasady, że małżeństwo to rzecz jest banalna.
Że jest lekką i skłonną do zdrady, woli miłość we śnie idealną.

Moskitiera, siniora la Mosquita...

*

Żołnierz i miłość

(Bliski Wschód)

Choć mówią żołnierz jest ze stali,
twardy na wszystkie ludzkie sny

Nie znosi marzeń , ni tkliwych wrażeń,
po prostu ze wszystkiego drwi.
Lecz przyjdzie miłość na żołnierza
i go otoczy czarem swym.
Wzrok opromieni, serce się zmieni,
bo przecież to z miłością gra.

Co dzień wsparty na karabinie marzę o swej dziewczynie,
tęsknie się patrzę w dal.
Co dzień wiatr niesie mi jej imię,
co przywiewa i ginie i znów zostaję sam.

Co noc w tysiącu gwiazd widzę jej oczy
i słyszę cichy szept: „Na zawsze jestem twa”.
Co dzień w żołnierskim liczonym tłumie tęsknotę
zwalczyć umiem, uciszyć serca ból.

*

Hymn 22 Kompanii (Irak)

22 Transportowa, nowych maszyn długi sznur
to dla innych dobry wzór.
O każdej porze jest gotowa
wypełnić śmiało obowiązek swój.

Tu każdy żołnierz wesół, zdrowy uśmiech ma
i śpiewać mu się chce, gdy motor pięknie gra.
A każdy wie, że wkrótce przyjdzie taki czas,
że do Ojczyzny będzie wozić was.

22 Transportowa, podczas jazdy piękny styl,
nie przekracza nigdy mil.
22 Transportowa, piękny szyk,
wojskowy dryg , Wojtkowy znak.

Spisał z pamięci Wojciech Narębski

*

Aniela Kłosińska – *Zesłańczy los*

Urodziłam się w stynnej osadzie Krechowieckiej, pow. Równe na Wołyniu w 1933 roku. Ojcem moim był Klemens Grzybowski, ułan krechowiecki, kawaler orderu Virtuti Militari, Krzyża Niepodległości i innych. Matka Maria z domu Dudelzak. 10 lutego 1940 r. cała nasza rodzina składająca się z rodziców i pięciorga dzieci: Helena lat 12, Ryszard lat 10, Henryk lat 8, Aniela lat 6 i Michał lat 4, została wywieziona w tajgę za Uralem, Mołotowska oblast, posesiołek Dziedówka.

Życie na posesiołku było bardzo trudne, ciężka praca ojca w lesie w prymitywnych warunkach za marne kilkadziesiąt gramów chleba, głód, wszy i pluskwy. Na tym posesiołku byłam operowana przez tamtejszego „wracza”. Operowany gruczoł nie goił się przez długie lata.

Wiadomość o „amnestii” w 1941 roku została przyjęta bardzo entuzjastycznie. Ojciec i jeszcze dwóch wygnańców wyrabali kilka dużych drew i zbudowali tratwy, którymi rzeką Uszczorną, po trzech tygodniach dopłynęliśmy do najbliższej stacji kolejowej. Jechaliśmy na południe, bo mówiono, że tam tworzy się armia polska.

Po drodze w Taszkencie zmarł braciszek Michałek. W podróży nie było innego wyjścia, jak pochować zwłoki przy torze kolejowym. Śmierć brata na rękach siostry Heleny i pogrzeb przy torze, przez lata powracał w moich myślach. Chwilowo zatrzymaliśmy się w sowchozie Kiziol-Ziol w Uzbekistanie koło Turkiestanu. Mieszkaliśmy w glinianej kibitce, o głodzie i w nędzy. Tatuś zgłosił się do tworzącej się Armii Polskiej. Po jego wyjeździe, na wiadomość, że tylko dzieci będą mogły wyjechać do Persji z Armią, Mamusia oddała moją siostrę i dwóch braci do sierocińca w Turkiestanie.

Mnie nie przyjęto do sierocińca, gdyż byłam chora i z jątrzącą się raną. Zostałyśmy w lepiance we dwie. Ja, prawie 8-letnia i matka chora na tyfus brzuszny. Kto nas karmił? Pamiętam tylko, że jacyś dobrzy ludzie przynosili chleb (lepioszki) i mleko. Pewnego wieczoru mama poprosiła mnie, abym usiadła koło niej. Powiedziała do mnie „Dzisiaj w nocy umrę”. Przykazała, abym poszła do przewodniczącego sowchozu i powiadomiła go o zgonie, mając nadzieję, że on zaopiekuje się mną. W nocy obudziłam się i poczułam straszne zimno. Spałyśmy pod jednym nakryciem, przytulone do siebie. Odsunęłam się od matki, odgrodziłam nakryciem, nieświadoma, że ten chłód idzie od jej martwego ciała.

Rano krzątałam się przy codziennych czynnościach i starałam się obudzić mamę. Gdy to stało się niemożliwe, poszłam do Uzbeczki i poprosiłam, aby przyszła zobaczyć, co się stało. Pojęcie śmierci nie docierało do mnie. Dopiero jak zabrali zwłoki, jak wkładali do grobu, uświadomiłam sobie, że już jej nie będzie. Co wtedy mi przeszło przez myśli? Nigdy nie mogłam oddać tego słowami, gdyż ogarniał mnie płacz. Był to rok 1942. Zostałam sama.

Kierownik sowchozu zaopiekował się mną. Wziął mnie do swego domu. Byłam „kadłubkiem”, tak mnie nazwano. Poił mnie jakimś tłuszczem i mlekiem prosto od krowy. Tego człowieka o nazwisku Barakiw powołano do wojska. Żona miała przykazane, aby mnie nie zatrzymywać. Oddała mnie więc do domu dziecka w Turkiestanie. Życie w domu dziecka ten tylko może sobie wyobrazić, kto sam przez to przeszedł. Głód straszny. Rano 5 dkg chleba, czarnego jak ziemia, i kubek kawy. Na obiad kubek zupy grochowej bez ziemniaków i też kawałek chleba. Kolacja podobna do śniadania. Jedzenie bardzo oszczędzano, bo nie wiadomo było, jak długo potrwa wojna.

Pamiętam, że przedsmak śmierci też mnie spotkał. Kiedyś wyszłam na dwór w jakieś ruiny zamku czy pałacu, bo dzieci szukały jedzenia nawet po śmietnikach. Byłam bardzo słaba i musiałam tam zemdleć, bo po obudzeniu znalazłam się w szpitalu. Jedna z dziewczynek podczas dyżuru w kuchni najadła się kiszonych pomidorów na pusty żołądek i zmarła na skręt kiszek. Jak wielką rozkoszą było życie w tych nieludzkich warunkach, odzwierciedla piosenka śpiewana przez dzieci:

Oj, nacztoż mienia, mat, narodila,
Oj, nacztoż mienia mat rodila,
Łutsze w moriu mienia utopila
Czem w dzietdomskoju zyt otдалa

Pamiętam też „nagie” dni, kiedy wszyscy leżeli nago na swoich postaniach, a rzeczy nasze były prane i odwszawiane, a głowy golone.

Nagle któregoś dnia wiadomość że wracamy do Kraju, do Polski. Był to rok 1946. Z grupą innych dzieci wróciłam i ja. Ludzie z całej Polski zgłaszali się po odbiór krewnych i swoich dzieci. Czekałam, ale nikt po mnie się nie zgłosił. Dzieci, które nie miały do kogo jechać, zostały przydzielone do różnych domów dziecka. Trafiłam do ss. Benedyktynek w Kwidzynie. Tam też ukończyłam szkołę podstawową. W 1949 roku, kiedy już miałam 16 lat, zostałam skierowana do szkoły średniej – Państwowego Gimnazjum i Liceum Hotelarskiego w Sopocie. Mieszkałam w Sopocie pod opieką Domu Dziecka. Większość uczniów to były dzieci pochodzące z normalnych rodzin. Sierot było kilkoro. Na każde Boże Narodzenie i Wielkanoc dzieci rozjeżdżały się do domów. Zostawała mała garstka tych „niczych”. To nie były święta, to była rozpacz. Opiekunowie mieli wolne. Podopieczni musieli radzić sobie sami, jak mogli. Liceum ukończyłam z wynikiem dobrym.

Przy końcu 1949 r. otrzymałam wiadomość przez Czerwony Krzyż, że mam ojca w Anglii. Wiadomość tę przyjąłam z ogromną radością i ulgą, że nie jestem sierotą i oprócz ojca mam jeszcze siostrę i brata. Moje rodzeństwo po wyjeździe z ZSSR Helena, Ryszard i Henryk z sierocińcem przez Persję i Indie (gdzie Henryk zginął w tragicznym wypadku przed 1945 r.) połączyli się z ojcem w Anglii w 1947 r. Ze mną spotkali się dopiero w roku 1961, po raz pierwszy od dwudziestu lat. Ojciec niestety już mnie nie zobaczył, gdyż zmarł w 1957 r. na atak serca.

*

Po ukończeniu szkoły Aniela otrzymała zatrudnienie w hotelu w Toruniu. Był to rok 1955. Tu też poznała i wyszła za mąż za Stefana Kłosińskiego. Mieli trójkę bardzo udanych dzieci. Karierę zawodową skończyła jako kierowniczka hotelu. Na emeryturze zajęła się pracą społeczną w kuratorium w Toruniu. Z wielkim poświęceniem przygotowywała posiłki dla biednych dzieci. Była bardzo pobożną osobą. Co dnia, jak tylko mogła, uczęszczała na ranną Mszę świętą.

Była kochającą matką, babcią sześciorga wnucząt i prababcią czworga prawnucząt. Pod czułą opieką kochającej córki Grażyny i zięcia Jarka oraz wnuczek Kamili i Aldony zakończyła swoją jakże trudną wędrówkę ziemską dnia 16.02.2011 r. w Warszawie i tam też została pochowana.

Ryszard Grzybowski, brat

*

Maria Nowodworska – *Moje przeżycia niewolnicze*

Mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem w miasteczku Dryświaty (obecnie Białoruś). Moja rodzina składała się z siedmiu osób: ojciec Antoni, mama Józefa, siostry: Weronika, Stefania, najmłodsza Reginka, brat Piotr i ja Maria. Mieliśmy niedużą gospodarkę. 10 lutego 1940 roku, o godzinie 6-ej rano, ojciec z latarnią wyszedł do obory nakarmić inwentarz. Mama rozczyniała chleb. My dzieci jeszcze spaliśmy. Dwaj uzbrojeni rosyjscy żołnierze spotkali ojca i kazali wrócić do domu. Nas dzieci obudzili każąc usiąść przy stole. W tym czasie zrobili przeszukanie mieszkania. Potem wydali rozkaz: „zbierajcie się prędko, pojedziecie do drugiego województwa”. Zaczęliśmy płakać i prosić: „zostawcie nas na miejscu, zabijcie w swoim domu”. Oni krzyczeli: „prędzej zbierajcie się!”

Kazali ojcu zaprzęgać konie. Była zima, załadowali nas do sań. Wzięliśmy, co było pod ręką. Trochę mąki, kaszy oraz ubrania. Ojciec zabił świniaka, a mięso włożył do worka. Wykonywał to pod karabinem i pod strachem. Płacz, lament okropny. Zostawiona gospodarka. Dołączyli nas do innych sań i wieźli do najbliższej stacji. Mróz był okropny. Gdy zapadł zmierzch, nocowaliśmy w szkole. Leżeliśmy na podłodze. Było bardzo zimno. Rano odwieźli nas do pociągu i zamknięto w bydłych wagonach. Wkrótce pociąg ruszył. Płacz, rozpacz, że wiozą na stracenie, na śmierć. Miałam siedemnaście lat. W wagonach były prycze, a na środku żelazny piecyk do ogrzewania. Byliśmy głodni i chłodni. W deskach na podłodze znajdował się otwór, który służył do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Zakratowane, małe okienko, ciemno. Pociąg zatrzymywał się rzadko. Rosjanie z karabinami otwierali wagony i krzyczeli: „po wodę, po węgiel!”, albo do załatwiania się pod wagonami.

Jechaliśmy tym pociągiem przez miesiąc lub dłużej, nie pamiętam. Pociąg był długi i miał chyba z siedemdziesiąt wagonów. Nie pamiętam do jakiego miasta dojechaliśmy. Tam czekały na nas ciężarowe samochody. Przesiedliśmy się do nich. Tu było okropnie. Jazda pod gołym niebem, zimno, strasznie trzęsło. Czekaliśmy śmierci. Nie wiem ile dni nas wieźli. Ojciec upadł wysiadając z wagonu, odcięło mu palce prawej ręki. Dojechaliśmy do syberyjskiej tajgi, gdzie przetransportowano nas na sanie ciągnięte przez konie. Wszyscy czekamy godziny śmierci. Nie pamiętam kiedy przywieźli nas na miejsce, czy w końcu marca, czy też w kwietniu. Tu czekały na nas długie baraki, a wewnątrz podwójne prycze.

Nadeszła wiosna, było cieplej. Wychodziliśmy z baraków pod karabinami. Nie można było rozmawiać gdy było się w grupie. Rozdzielono nas do pracy w lesie. Mężczyźni ścinali drzewa, a my dziewczynki zbierałyśmy gałęzie i paliłyśmy ogniska. Ta praca była z dala od rodzin i baraku. Mnie z kilkoma dziewczynkami wysłano do pracy do baraku, w którym przebywali mężczyźni. Zobaczyłyśmy jak tam strasznie. Karaluchy chodziły po stole i po całym baraku. Stół zbity z desek. Na nim stało wiadro z gotowaną wodą. Zaczęłyśmy się bać i bardzo płakać. Zabrali nas i więcej tu nie wróciłyśmy.

W lecie robiliśmy drogę, wyrwaliśmy ogromne drzewa z korzeniami i taczkami woziliśmy ziemię. Muchy i komary ciągle nam dokuczały. Było bardzo ciężko. Zimą drogą tę polewano wodą, aby była śliska bowiem zwożono nią kłody drzew na brzeg rzeki, którą je spławiano. Tak pracowaliśmy przez dwie zimy, podczas których nie oszczędzano nawet dzieci zmuszanych do odgarniania śniegu z tej drogi. Mój brat i jego koledzy karczowali drzewa w lesie. Kiedyś spadająca gałąź rozcięła mu czoło. Widziałam jak na saniach zalanego krwią powieźli do szpitala. Mróz był okropny. Innym razem kazali mu wywozić zaprzęgiem konnym wielkie kłody z lasu. Nie zgodził się. Siedział w areszcie pięć dni o głodzie i chłodzie. Nie mógł tego przeżyć, więc z kolegami postanowili opuścić syberyjską tajgę i udać się na południe. I tam gdzieś w jakimś kołchozie zginął. W pierwszym roku zesłania chorowała i umarła najmłodsza siostrzyczka Renia mając dziewięć lat. Tak straciłam brata i siostrę.

Przez pewien czas pracowałam w tartaku, gdzie uległam wypadkowi. Spadająca belka wybiła mi zęby i pokaleczyła twarz a wskutek uderzenia straciłam słuch. Do dziś na jedno ucho nie słyszę wcale. Wypadek miał miejsce podczas pracy na nocnej zmianie. Zimno było okropnie. Z tartaku odwieziono mnie

do baraku. Miałam opuchniętą twarz, i mimo doznanych urazów rano musiałam iść do pracy. Miałam wówczas siedemnaście lat.

Po dwóch latach pobytu w tajdze przewieźli nas do sierocińca w okolicy Nowosybirska, gdzie pracowaliśmy w polu. Oraliśmy wołami, natomiast wozem zaprzężonym w byki razem z koleżanką wożyłyśmy z magazynu chleb dla robotników. Dawało to okazję do „skombinowania” bochenka by zaspokoić głód. Byczek powoli ciągnął wóz, droga się dłużyła, więc i starczało czasu do zjedzenia zdobytego w ten sposób chleba. W pracy byłam zaradna i sprytna, lubiana przez gospodarza i dyrektora sierocińca. Pamiętam też taką okoliczność, że pewna Rosjanka nie dowiozła chleba do pracujących w polu. Przez trzy dni doskwierał nam głód, gotowaliśmy wodę z pokrzywą lub z lebiodą tracąc siły. By ratować sytuację wysłano mnie do sierocińca po pożywienie. Nie wiem, gdzie była moja odwaga – poruszać się sama przez dziki las. Tu, gdzie nas przywieźli, pracowaliśmy w polu, kosiliśmy zboże, trawę, kopaliśmy ziemniaki. Rosjanin nadzorujący te prace wysyłał Polki do załatwiania różnych spraw i był z nas zadowolony. Byłam „mężczyzną, koniem i wołem”. Ciągłe jednak byłyśmy głodne. Na wiosnę szukano kłosów na kołchozowych polach i kiedyś zatrudiliśmy się tym ziarnem, piana i krew ciekły nam z ust. Zabrano mnie do szpitala, byłam, nieprzytomna i słaba. Tam odwiedzała mnie mama i przynosiła swój kawałek chleba.

W czterdziestym piątym roku życia, po ciężkiej chorobie i niewolniczym życiu, bez pomocy lekarskiej umarła ukochana mama. Do końca była przytomna, prosiła, żeby zająć się młodszą siostrą. Kosiałam z koleżanką trawę na bagnach dla Rosjanek, żeby zarobić na pół litra mleka dla chorej mamy. Głód i upał ciągle nam dokuczał od rana do wieczora. Komary gryzły bez litości. Zostawiliśmy na obcej ziemi Mamę, siostrę i brata. „On jeszcze młody był i życiem rad, a musiał iść do grobu, pożegnać słońce, świat”.

Gdy wracaliśmy po pracy do baraku czekaliśmy na wiadomości z kraju odnośnie zakończenia wojny. Nareszcie, rano dziewiątego maja słyszemy wycie syren, nie wiemy co się dzieje. Rok 1945. Jesteśmy daleko od rodzin, na polu. Przyszedł gospodarz i oznajmił: „nie wiecie, że koniec wojny”. Ile było radości, płaczu, całowaliśmy ziemię. Ten dzień był dniem wolnym od pracy. Co za radość nie do pojęcia. Niebawem rozpoczęły się przygotowywania do opuszczenia ziemi zesłania. Z sąsiednich posiołków zwożono polskie rodziny. Potem ciężarówkami dowieźli nas do najbliższej stacji, gdzie kompletowano pociągi do odjazdu. Wzięłam trochę ziemi z grobu mamy. Do pociągu wsiedliśmy: ja, ojciec, siostra Weronika i Stefcia. Na miejsce do Polski dojechaliśmy już we trójkę. Starsza siostra Weronika została na terenie Rosji, odeszła z rosyjskim wojskowym. Ojciec rzucił się pod pociąg, ale go uratowano. Tak bardzo przeżył decyzję starszej córki.

Wróciliśmy do Polski na obcy teren, gdzie jako najstarsza z dzieci zajmowałam się osiemdziesięcioletnim ojcem i piętnastoletnią siostrą. Zamieszkaliśmy na terenie tzw. Ziem Odzyskanych – na Mazurach, w domku poniemieckim, który opuścili właściciele. Tu poznałam męża, również pochodzącego z dawnych terenów wschodnich (dzisiejsza Ukraina). Zaczynaliśmy życie od zera. Na obcej ziemi, bez pomocy rodziny, krewnych i znajomych. Urodziłam dwójkę dzieci, które wychowałam i nie było z nimi żadnych kłopotów. Pomagałam w wychowywaniu wnuków, którymi bardzo się cieszyłam. Przeszłam wiele chorób po wycieńczonym na Syberii organizmie: utrata słuchu w jednym uchu,

anemie, operacje, kłopoty z sercem i silna nerwica. Nie załamalam się. Do nikogo nie miałam pretensji. Nikogo nie oskarżałam o mój los. Dzięki silnemu charakterowi i opatrności Bożej udało mi się przeżyć trudne chwile i ciężkie choroby. Jeśli było trzeba pomagałam też innym ludziom. Moją pasją była przyroda. Sadziłam kwiaty, warzywa, krzewy. Wszystkie wolne chwile poświęcałam pracy w ogródku. Sąsiedzi i obcy ludzie podziwiali jej efekty.



Przy trumnie matki Józefy. Od prawej: ojciec Antoni, córki: Maria (moja Mama), Stefania i Weronika.

*

Mama moja, Maria Nowodworska z domu Gibowska, urodziła się w 1923 roku w Dryświatach, powiat Brasław (obecnie Białoruś). Mieszkała tam razem z rodzicami: mamą Józefą i ojcem Antonim oraz z czwórką rodzeństwa: Weroniką, Stefanią, Reginą i Piotrem. Mieli własne gospodarstwo, na którym pracowali. 10 lutego 1940 roku zostali wywiezieni całą rodziną na Syberię. Tam przebywali do zakończenia wojny. Na Syberii umarła Jej Mama i najmłodsza siostra Regina. Najstarsza Weronika została na terenie ZSRR, gdzie poznała przyszłego męża.

Z zesłania powrócili do kraju w trójkę (Mama, Jej siostra Stefania i Ojciec Antoni). Najpierw przywieziono ich do Szczecinka. Zarejestrowano w punkcie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Dębnie. W Szczecinku rozpoczęła pracę w fabryce. Po kilku miesiącach wyjechali na tereny tzw. Ziemi Odzyskanych do Kętrzyna. To był ostatni etap ich podróży. Zamieszkała w poniemieckim domu razem z mężem Piotrem, którego losy wojenne również rzuciły na te tereny. Mieszkała tam do końca życia. Zajmowała się prowadzeniem gospodarstwa i wychowywaniem dwójki dzieci oraz wnuków. Kochała przyrodę. Pracowała w ogródku, gdzie sadziła kwiaty, warzywa, krzewy. To dawała Jej ogromną satysfakcję. Tu zapomniała o swoim losie i chorobach, związanych z wycieńczeniem organizmu na Syberii.

Mama była dzielna, nigdy nie narzekała. Do końca życia aktywna, oddana rodzinie i znajomym. W 2008 roku obchodziła z mężem uroczystość związaną z długoletnim życiem małżeńskim (60 lat), za które zostali odznaczeni medalem przez Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Zmarła 16 listopada 2009 r. w Kętrzynie, i tam została pochowana.

Córka Krystyna

*

Adam Wołk – *Trzecie Boże Narodzenie na Syberii*

W połowie grudnia nastąpiło pogorszenie stanu fizycznego, osłabienie Stefci, naszej niesprawnej ciotki. Babcia miała wielkie kłopoty z pielęgnowaniem jej. Uciążliwości z praniem, nic nie schło. Zmarznięte *kozuby* wносиło się z powrotem do wnętrza. Babcia dezynfekowała na tym 40 stopniowym mrozie. Stan Stefci pogarszał się z dnia na dzień. Babcia wyjęła malutkie zawiniątko cukru przechowywanego na czarną godzinę, podała Stefci na łyżeczce trochę, ona zjadła i nawet uśmiechnęła się, zawsze była bardzo łakoma na cukier. Było popołudnie, zapadał mrok zimy. Babcia kagankiem oświetlała swoją izbę. Lampa paliła się w drugiej, gdzie było więcej osób. Już był wieczór, gdy Babcia weszła i powiedziała, że Stefcia umiera. Poszliśmy do niej. Leżała spokojnie na boku na poduszce. W słabym świetle wyglądała pół śpiąca, poruszała wargami. Rozeszliśmy się. Za jakieś kilkadziesiąt minut Babcia powiedziała, że Stefcia umarła. Mówiła te słowa jakby pogodnym tonem, bez rozpacz czy jakiegoś załamania w głosie. Tak jak i na twarzy Stefci nie rysował się ból czy cierpienie. Był to dzień 20 grudnia 1942 roku. Ułożyły Stefcię pod oknem na kufrach. Babcia postanowiła, że będzie spać nadal w tej pierwszej izbie. Na drugi dzień rano trzeba było szukać kogoś do kopania grobu. Iść do kantorki prosić o sanie i konia. Ziemia była zmarznięta bardzo głęboko, kopanie grobu odbywało się przy pomocy kilofów i trwało dwa dni. Pogrzeb odbył się 23 grudnia. Przyprowadziłem z kołchozu konia i sanie syberyjskie niskie. Wyniosło się zawiniętą w szary koc malutką Stefcię i położyło na sianie wyściełającym sanie. O trumnie nie było co marzyć, każda deska pochodzi z dalekich stron.

Początkowo na cmentarz próbowaliśmy iść, ale droga była jeszcze słabo przetarta. Koń miejscami zapadał się głęboko. Przycupnęliśmy na brzegach sań i wolno pojechaliśmy przez Połtawkę na cmentarz. W milczeniu pochowaliśmy. Bardzo przykre wrażenie robi zasypywanie zmarzniętą ziemią ciała bez trumny. Mogiła stanęła wysoka nastroszona ziemią wymieszaną ze śniegiem. Ja zrobiłem krzyż brzozy z jakichś odłożonych drągów. Wróciliśmy do domu zmarznięci. Odprowadziłem konia, okazało się, że to było bezpłatne świadczenie władz na rzecz ludności.

Dopiero pisząc te wspomnienia zdaję sobie sprawę z myśli jakie Babcie tam na Syberii nurtowały. Dla mnie ta śmierć Stefci była zaskoczeniem, a dla Babci jedyną do przyjęcia kolejnością. Mając 14 lat nie myślałem takimi kategoriami.

Zbliżały się nasze trzecie święta Bożego Narodzenia na Syberii. Zrobiłem choinkę z brzozywych patyczków wtykanych pod prostym kątem w grubszy patyk, piętorkami jak u świerka. Z kopert od listów z Polski wrywałem bibułkę, podszewkę. Z niej wycinałem strzępiaste paseczki imitujące igły, które następnie przyklejałem do patyczków. Choinka miała około pół metra wysokości. Świecek były robione najstarszą techniką, maczania lekko obciążonego knota w rozpuszczonej stearynie. Po każdym umoczeniu na chwilę wyjmowałem do zastygnięcia, czynność tą powtarzałem do uzyskania odpowiedniej grubości świeczki. Trochę zabawek klejonych gotowanym kartoflem zrobiłem z bibulek i opakowań UNRA. Nie wiele bywało na te nasze kazachstańskie wigilie, ale barszcz z uszkami w każdym razie był. Zamiast opłatka pieczone placuszki z ciasta tego co na uszka. Przygotowywaliśmy z Krzysiem jakieś prezenciki –

on rysunczki, na łuskane ziarna słonecznika w pudełeczku po zapałkach litewskich, ja jakieś dłubanki swoje. Krzyś był bardzo wytrwały w takich mozolnych i zdawałoby się nudnych czynnościach, przy jego żywotności i ruchliwości stanowiło to duży kontrast. W sytuacjach szczególnych, takich jak święta był bardzo spokojny, skupiony i cichy – właściwie poważny, jeśli tak można powiedzieć o 6-letnim dziecku, cieszył się bardzo wyraźnie z przejęciem i wycuciem chwili.

W takich momentach myślą jest się zawsze z najbliższymi. Nie wiele wówczas wiedzieliśmy o reszcie rodziny. Kontakt z Polską urwał się wraz z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, a więc już półtora roku minęło od tego wydarzenia. Mogliśmy się domyślać, że Rodzice i siostry wrócili do Czar-tajewa, ale zupełnie nie znaliśmy panującej tam sytuacji. Nie żywiliśmy jednak obaw o nich, warunki tamte wydawały się nam wielokrotnie lepsze od naszych. Tymczasem tej właśnie jesieni umiera na krwawą dyzenterię wuj Władysław Gumplowicz w Warszawie. Wuj Michał Warczuk, mąż cioci Tuni, nie dał znaku życia – pewnie już nie żył. Matka wuja Zbigniewa Madalińskiego zmarła pod Archangielskiem. Natomiast nie wiedziałem, że sam wuj, po kłęsce pod Kockiem, przedostał się do Francji i już jako oficer francuski pod nazwiskiem Malinowski był w niewoli niemieckiej.